Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 22 (425-26). *WARSZAWA, 2 Czerwca 1928 r.* *ROK XXI*



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU
POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

KONTO P. K. O.: „Centralny Związek Polskich Stow. Łowiec.“ 8082.
ADRES: NOWY-ŚWIAT 35. TELEFON 7-98

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15, za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedynczy — 1 zł.
Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENA OGŁOSZEŃ: Za każdy milimetr 1-szpaltowy za tekstem 35 groszy, 2-szpaltowy 75 groszy; przed tekstem: 1-szpaltowy 50 groszy, 2-szpaltowy 1.10 zł.; na karcie tytułowej 1-szpaltowy 70 groszy, 2 szpaltowy—1.50 zł.

WYJAŚNIENIA W SPRAWIE PRENUMERATY.

Wobec kończącego się w bieżącym miesiącu półrocza i II kwartału, musimy wyjaśnić szczegółowiej formalności prenumeraty, dla uniknięcia częstych dotąd nieporozumień.

Prenumeratę należy opłacić z góry. Urząd pocztowy wymaga podania zgóry dokładnej liczby prenumeratorów.

Zaleganie z opłatą przynosi straty wydawnictwu.

A zatem czy to miesięcznie, czy kwartalnie, czy za pół roku, należy nadsyłać pieniądze przed 1-ym. W każdym numerze zaznaczamy dlatego, że: „Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy (jak za pojedyncze) po 1 zł.“

Do jednego z numerów czerwcowych załączymy przekaz P. K. O. Prosimy uprzejmie o natychmiastowe odnowienie prenumeraty.

Administracja „Łowca Polskiego“.

„LISTY DO REDAKCJI.

Radziejów, dn. 22 maja 1928 r.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Nie miałem wcale zamiaru polemizować z p. Jasińskim, lecz na umieszczone w Nr. 20 „Łowca Polskiego" jego „sprostowanie" zmuszony jestem odpowiedzieć

Otóż cieszy mię bardzo, że p. Jasiński przyznał się do tego, że 1) nie dotrzymał swego przyrzeczenia zamiany suki na psa i 2) nie przyjął mego listu, pisanego do niego. O ustalenie tych 2 faktów chodziło mi jedynie i to wcale nie przez zemstę, lecz żeby ostrzec innych kolegów myśliwych, mających do czynienia z p. Jasińskim, więc cel mój został dopięty.

Następnie nie mogę nie sprostować twierdzenia p. Jasińskiego w jego „sprostowaniu", że on **odmówił** wymienienia suki na psa wobec tego, że suka była strzelana i tem „zupełnie popsuta". Właśnie dlatego, że p. Jasiński nie napisał mi wprost, że wymienienia odmawia, a tylko przestał odpowiadać na moje listy i wreszcie i przyjmować takowe, podałem to do powszechnej wiadomości. Muszę tu przypomnieć panu Jasińskiemu, że bardzo niedawno na łamach „Łowca Polskiego" on zalecał strzelanie do psa jako dobry środek przy tresowaniu, a teraz twierdzi, że ten sam środek był przyczyną zupełnego zepsucia psa. Zresztą mogę stwierdzić, że to zepsucie było niezupełne, gdyż w bardzo krótkim czasie sukę do strzału przyzwyczaiłem, pukając, a następnie strzelając przy karmieniu, i ona wcale się strzału nie boi, o czem p. Jasińskiego zawiadomiłem.

Dalej nie mogę nie wyrazić swego zdumienia z powodu gniewu i oburzenia p. Jasińskiego na to, że poszukiwałem zaginionego psa, chociażby i kupionego od p. Jasińskiego, przez ogłoszenie w „Łowcu Polskim". Więc przez to niewinne ogłoszenie o zaginionym psie ujawniłem swoje „niesłuszne, a przedewszystkiem brudne" posądzenie p. Jasińskiego o przywłaszczenie czy już nie wiem o co? Panie Jasiński! Czy Pan nie rozumie, że pisząc tak niedorzeczne „sprostowania", naraża się Pan na śmieszność? Nawet się gniewać na Pana nie mogę, pomimo użytych przez Pana pod mojim adresem wyrazów: „brudne posądzenie, niesmaczna korespondencja", tak jest Pan rozbrajający w swoich ciężkich wysiłkach ratowania niby uszkodzonej przezemnie opinji Pana.

Co do psa, o którym rzekomo pisałem do p. Jasińskiego, że ma dobrą tresurę i wiatr, a później napisałem, że wcale nie ma wiatru, to przyznaję, że jeżeli napisałem w ten sposób do p. Jasińskiego, to się srodze pomyliłem, widocznie wnioskowałem z przypadkowego wystawienia możliwie na oko, lecz później przekonałem się, że miał on bardzo nikły wiatr, a raczej wcale go nie miał. Zresztą w cytowanym przez p. Jasińskiego moim liście słowo „dobry" odnosiło się tylko do tresury, bo gdybym chciał go zastosować i do wiatru, to bym napisał „dobre", a nie „dobrą".

Wreszcie co do ceny psa, to niech p. Jasiński powie szczerze z ręką na sercu, czy ja tę cenę wyznaczyłem? Czy nie zgodziłem się odrazu bez targu na podaną mi przez p. Jasińskiego cenę i czy nie wysłałem mu natychmiast pieniędzy, nie widząc kupionego psa? Wogóle nie rozumiem, w jakim celu p. Jasiński zaczął mówić o cenie psa. Czy chciał przez to powiedzieć, że za takie „psie pieniądze" można tylko sprzedać psie „ciało", mówiąc słowami p. Jasińskiego, nic absolutnie nie warte? Jeżeli tak, to bardzo współczuję tym myśliwym, którzy się zwracają do hodowcy z takiemi zasadami w nadziei kupienia od niego psa do polowania po cenie przystępnej.

Na tem kończę polemikę z p. Jasińskim i oświadczam z góry, że więcej prostować jego „sprostowań" nie będę, gdyż jestem przekonany, że nie tylko ci z myśliwych, którzy znają mnie i p. Jasińskiego lub nawet jednego z nas, lecz i wszyscy inni, którzy przeczytali nasze listy do Redakcji, już wyrobili sobie zdanie o tem, kto z nas dwóch ma słuszność.

Z poważaniem

GUSTAW OKOŁO-KUŁAK".

Z POLESIA.

I.

Żyjąc już sześćdziesiąt lat na tym bożym świecie, z których około czterdziestu poluję na Polesiu, nie pamiętam, żeby kiedykolwiek 16 kwietnia wypadło mi jechać saniami, po wyśmienitej sannej drodze. A miało to miejsce podczas drugiego mego przyjazdu do najgościnniejszego domu pp. Stanisławostwa Szyczewskich w Tomaszgrodzie pod Sarnami. Jednem słowem, oczywiście „bolszewizmu atak" nawet w apolitycznej zwykle naturze! Pierwszy zaś mój rozkoszny okres łowów wiosennych i sosną, a ciągnące się dziesiątkami kilometrów aż het tam, ku granicom Józefina i Przebrodów Dawidgródeckiej ordynacji ks. Karola Radziwiłła, świetnego myśliwego i niezrównanego hodowcy. Próbuję więc szczęścia, lecz głuszce, których jest multum (na zapadach bowiem nierzadkością jest „zasadzić" 20 — 30 kogutów) — klapią tylko, parę pieśni „odśpiewawszy" w kompletnych mrokach, na ziemię zlatują. Powabne głuszyce milczą, jak zaklęte. Coś ponurego jest w tej niesamowitej martwocie i ciszy. Ani kaczor lubieżny nie kwaknie,



Wiosenny ranek...

rozpoczęty w ostatnich dniach marca tembardziej zapowiadał się dość smutnie. Kompletna martwota naokół. Nietylko nie słychać śpiewu zwiastuna ciągu słonek i gry głuszców, drozda, lecz nawet trznadla niewinnej zwrotki i wogóle odezwania się jakiejkolwiek ptaszyny: sikory bogatki, ba, pisku myszki szarej. Lód murem jeszcze opancerzał rzeki, podkładem iście żelaznym betonując zmarznięte bagna, co poniekąd ułatwia chodzenie na tak trudnym terenie, jakim niezawodnie jest słynny rewir „Pohoni" — nieprzebyte moczary, zarosłe karłowatą brzeziną ani tak miłego „chrapnięcia długodziobej" nie słychać—ani beczenia bekasa. Jednem słowem, rozpacz i czarna melancholja. Stan ten trwa dni kilka z pogorszeniem jednak stopniowem wskutek rozmiękczenia się błota sławetnej „Pohoni".

Do miejsca toków 2 i pół kilometrów od brzegu po „trybie" mierzonych, prócz tego jeszcze jeden „z hakiem" do samych głuszców. Wesoło, co? Lecz nigdy nie należy tracić nadziei, korzystam z łaskawego zezwolenia właściciela Miedzyna, nieobecnego natenczas w swych poleskich majętnościach

p. Michała Peretjatkowicza i na „Prima Aprilis" w towarzystwie typowego gajowego „głuchaczaamatora", Imć Pawła Błażeńca, udaję się na te piękne łowiska, na których roku zeszłego padło aż 16 śpiewaków. Osadzone tego wieczoru zostały cztery pewne „hłuszci", z których dwa na brzegu błota na „suchoputji", jak mawiają poleszuki, a dwa w głębi trzęsawiska. Pogoda pod zdechłym psem! Wiatr wyje, jak stara wiedźma, obdzierana ze skóry. Z huraganową siłą naginają się zadumane brzozy i wysmukłe sosny. Pod krzakiem „chwojki" przy ognisku roznoszonem wściekłymi podmuchami, oczekujemy, przykucnięci z Pawłem, godziny drugiej po północy, kiedy to ruszyć z miejsca wypadnie. Śnieg zaczyna prószyć, jak z rogu obfitości. Posilamy się gorącą herbatą. Boże mój miły, jakże smakuje nam ów nektar błogosławiony, albo bajeczne domowe wyroby kunsztu masarskiego z gościnnej śpiżarni Tomaszogrodzkiej obficie zaczerpnięte. Kolejka „wudjeli" nie mało też dodaje nam animuszu. Z delicją słucham opowiadań i bajań starego poleszuka o czasach zamierzchłych, o dziesiątkach łosi, padłych z jego, niegdyś kłusowniczej ręki, o „huku" ptactwa i zwierza na tych zapadłych łowiskach, w mrokach lat ubiegłych, kiedy to najbliższą stacją było Równe, odległe o dwieście kilometrów. Później o rzeziach podczas tak zwanej „swobody" (miodowe miesiące bezkrwawej (?) rewolucji rosyjskiej) kiedy to rabowało się pańskie dwory i wybijało w pień wszystką zwierzynę. Piękna „swoboda" — niema co mówić!

Reflektując kłusownika-emeryta, tłumaczę mu całą ohydę i głupotę podobnego postępowania. „Tak co, panoczku, ciamnota naroda wszystkiemu winna, ciepier polskaja właść zaprowadza poriadok, już i hłuszciw i zwiera wszelkiego coraz więcej staje, rozmnaża się łosi nie mało, na kniażeskom (Dawidgródecka ordynacja), bobrów para niejedna na Zariszczu się zaprowadziła, a ja niegdyś ostatnią samkę zabiłem, żyd dał mi osiem rubli natenczas, a dziś? gdyby jeszcze żyły u nas! Wielmi też żałuję tego! Ileby to złotych za szkurkę dali!..."

„A widzi Paweł, jak źle postąpiliście natenczas".

„Prawda, panoczku, ale nikt nie wrazumljał (nikt nie tłumaczył)." — Dusza i serce rosło, gdy z rozhoworów podobnych się przekonywało, na ile śród dzikiej ludności miejscowej przenika jednak poczucie państwowości polskiej, pomimo błędów wielu, pomimo elementów często nieodpowiednich śród administracji lokalnej, nie zawsze uświadomionej co do tutejszych warunków! Duma narodowa przepełniała całą istotę, i skrzydła Orła Białego zda się poświatą jasną nad uśpioną puszczą tak kochająco rozpościerały się... A tymczasem, pod trzask palących się smolaków „bałakaliśmy" (gawędziliśmy) dalej.

Stary wyga szeroko się rozwodził o tajemnicach głębin leśnych, o czarach, djabłach i dziwach mszarników niedostępnych, o arkanach i chytrościach sztuki myśliwskiej, o podpatrzonych zwyczajach dziczyzny i zjawiskach przyrody, o których się żadnemu uczonemu nie śniło nawet nigdy. A wiatr ciągle wył, jak wiedźma stara. I dobrze nam było przy tem trzaskającem ognisku, w roztoczy świała czarnotą nocy tak szczelnie zamkniętego — ze słabą nawet nadzieją usłyszenia królewskiej pieśni w sercach pełnych zwątpienia!

II.

„Weselyki wtoroj hołos dajut' — pora" (żórawie drugi raz śpiewają, już czas). „Chadzim, panoczku". Za pół godziny jesteśmy już nad brzegiem moczaru z osadzonymi głuszcami. Zatapiamy się więc w słuchanie z doskonałych najdoskonalsze! Absolutnie nic, oprócz podrywów wściekłego wiatru, nic nie słychać, — rwie on z błota na suchą „griadkę" coprawda z małemi przerwami. Śnieg sypie coraz lepszy. Wyświetla się i szarzeje, widać już kontury pni i zarysy krzaków. „Panoczku, treba, szob uże grał"... Raptem o sto kroków głośny łopot, najbliższy kogut zlatuje. Chwila, i drugi „spływa" też w błotną dal. „Lasciate ogni speranza". Paweł zaczyna już nawet rozmawiać głośno. Wtem, z głębin mszaru słyszę, gra!.. „Mołczi, hraje spiwak!" Stary aż przysiadł, z emocji rzucił czapkę nawet, żeby lepiej słyszeć. Obaj w słuch się obracamy. „Prawda, poje, panoczku z Bohom!" Walę dużymi susami, bo już późno, podczas gdy pieśń płynie jedna za drugą prawie bez przerwy. Słychać ją dobrze, tylko gdy wiatrzysko ustaje nieco. Już jestem blisko. Rozkazujący gest. Paweł zapada pomiędzy dwiema kępami prosto w wodę lodową, używając „bain de siege" metodą doktora Kneippa. Jestem nareszcie pod głuszcem. Ależ śpiewak! precz z Caruso, Marinim, Kiepurą! Spokrewniony z nimi jest ów „urogallus" chyba. Ponieważ wiatr dmie od niego, więc nie słyszał zrywających się rywali, dlatego też rżnie pieśń po pieśni. Naprózno staram się go wypatrzeć śród gęstych, niskich chojaków. „Panoczku, a! panoczku"— wrzeszczy Paweł podczas „szlifowania", ręką wskazując kierunek. Groch o ścianę, nie widzę go. Wtem, jak zjawę snów gorączkowych zoczyłem sylwetkę ogromnego ptaka.

Zakryty jest gęstem gniazdem splecionego igliwia. Strzał przez nie jest bardzo ryzykowny. Pod pieśń obskakuję raz, drugi, jeszcze gorsza tego rodzaju przeszkoda. „Panoczku, jak wół sydyt' na wietwi" (jak wół siedzi na gałęzi) — ryczy mój towarzysz — w lewo, beryt' w lewo!" Przekleństwo! głuszec widocznie zauważył Pawła, gdyż już widno zupełnie. Zamilka. Wszystka krew przypływa do serca. Przed oczyma idą ciemne kręgi. Zapomina się o świecie całym. Widzę przez „chwoję", że wachlarz poczyna się powoli przymykać, szyja, o zgrozo, jak u żmii poniżać, — źle panie Adamie, moment i „finita la comedia". A spudłować na 45 kroków lub zepsuć głuszca, sprawa „hadka" i konfuzja niemała. Ufny jednak w swój stary wierny „dryling" Heyma, przez Lisowskiego złożony, rzucam strzał. O radości, jak snop wali się w ogniu po zwykłej chwili wahania na gałęzi, wspaniały, mój największy z 73 padłych już okazów, prawie trzynasto funtowy pieśniarz w śniegi, lód i wodę rodzimej puszczy. Ona go wyhodowała, tyle sił żywotnych i napięcia miłości obficie dając. „Sława Bohu, panoczku!" aż dusi się z zachwytu Pawło, namiętnie mnie po rękach całując — „ce sztuka, w taku pohodu i takom miści ubyt' hłuszca"... Rzeczywiście, w podobnych warunkach upolowane trofeum warte jest strzału i oblicza Pańskiego — jak niezawodnie wykrzyknąłby książę na Nieświeżu, Karol Radziwiłł Panie Kochanku, prawdziwy „de re et nomine" myśliwiec na Litwie dawnego autoramentu. Z duszą mdlejącą od szczęścia i nadmiaru ekstazy łowieckiej, wracaliśmy do gościnnego dworu pp. Szyczewskich. I niczem nam była śnieżyca i niczem wiedźmowe wycie wiatru!

III.

Czas mego drugiego okresu łowów wiosennych wypadł też podczas cyklonu kwietniowego. Lecz później pogoda się nieco ustaliła. Małe biedne ptaszki, których niemało padło podczas tej katastrofy, rozpoczęły nareszcie swą hosannę pieśni wiosennych. Cietrzewie bełkotały, głuszce jednak grały dość marnie. Słonek było bardzo mało. Niewątpli-

wie duża ilość padła ofiarą chciwości kulturalnych Europejczyków podczas ciężkiej zimy tegorocznej we Włoszech, Hiszpanji, Francji, na Kaukazie, a także ponieważ czas powrotu był bezksiężycowy w noce ciemne, więc w projektorach elektrycznych współczesnych latarń morskich śmierć okrutną znalazły. Miejmy nadzieję, że ręka Matki-Przyrody powetuje te straty bolesne i lęgi będą dobre, wracając etatową równowagę w zdziesiątkowane szeregi tych ślicznych ptaków. Kaczek krzyżówek było bardzo dużo, cyranek obu gatunków daleko mniej niż w roku ubiegłym. Gęsi walny swój przelot miały jeszcze aż do połowy kwietnia. Pokrewnych odmian gągołów, kaczek i nurów było dość, lecz widocznie śpieszyło się biedactwo do miejsc lęgowych — na krótko tylko u nas się zatrzymując.

Ś-ty Hubert darował mi kilka ładnych strzałów do cietrzewi, delektowałem się kaczorami w olchowych mrokach rzeki Lwy — zdobyłem parę długodziobych na ciągu, padł jeszcze jeden głuszec na niedostępnej Pohoni, drugi z ręki mego najmilszego kompana Wierzchowieńskich jeszcze polowań, hr. Józefa Steckiego. Cześć więc i dziękczynienie świętemu naszemu Patronowi!

ADAM RZEWUSKI.



Na poleskiej drodze...

WARUNKI TERENU POD BAŻANTARNIĘ.

Powołując się na mój poprzedni artykuł w powyższej sprawie oraz na uwagi do powyższego artykułu p. Adama hr. Rzewuskiego, umieszczone w Nr. 17 „Łowca Polskiego", zmuszony jestem uzasadnić mój pogląd na sprawę sprowadzania jaj bażancich, jakoteż młodych i starszych bażantów. Wyjaśnienie spraw tych poczytuję sobie za obowiązek koleżeński w stosunku do ogółu myśliwych, aby nie być posądzonym, że polecam rzeczy niedostatecznie przezemnie samego teoretycznie i praktycznie zbadane.

Przedewszystkiem, zdaniem mojem, należałoby wszystkich zapoczątkowujących u siebie hodowlę bażantów podzielić niejako na trzy kategorje. Do pierwszej zaliczyłbym wszystkich myśliwych hodowców, właścicieli dużych majątków ziemskich, którzy, mając odpowiednie środki materjalne zapoczątkowują odrazu hodowlę na dużą skalę, aby obok przyjemności czerpać również pewne dochody lub conajmniej znaleźć pokrycie wydatków z hodowlą związanych. Taką jest hodowla w Krośniewicach i taką była hodowla w dobrach Wierzchowieńskich. Jasnem jest, że tego rodzaju hodowle muszą mieć specjalistów, którzy z każdym sposobem zakładania bażantarni dadzą sobie radę, byle teren był odpowiedni, dla których to hodowli system sprowadzania jaj wylęgowych przy zakładaniu bażantarni jest może nie najracjonalniejszy, ale w tym wypadku specjalnie najtańszy. Druga kategorja, to właściciele mniejszych majątków, którzy w zaprowadzaniu bażantów szukają jedynie urozmaicenia zwierzostanu w swych łowiskach, rezygnując z hodowli na dużą skalę i z ewentualnych dochodów, bo ani teren, ani środki materjalne im na to nie pozwalają. W większości wypadków, hodowcy ci nie mogą sobie pozwolić na utrzymywanie specjalistów bażantarników, powierzając czynności z hodowlą związane istniejącej służbie, nie posiadającej w tym kierunku żadnych wiadomości i doświadczenia. Trzecia kategorja hodowców, to wszelkie kółka myśliwskie, dzierżawiące tereny i hodujące zwierzynę li tylko w celach myśliwskich. Ta ostatnia kategorja naogół rozporządza jeszcze mniejszymi środkami, tembardziej nie może sobie pozwolić na utrzymywanie specjalistów.

Przyjrzymy się teraz bliżej tym trudnościom, jakie wyżej wymienione trzy kategorje hodowców mają do przezwyciężenia, zaprowadzając u siebie hodowlę bażantów ze sprowadzonych jaj.

Pierwsza kategorja hodowców ma wszystko, specjalistę bażantarnika, pomoc stałą i dorywczą dla tegoż w całej służbie folwarcznej, żywność dla bażantów jak jaja, mleko, jajka mrówcze, wszelkie ziarno, poślady, wysiewki od młocki, paszę zimową oraz nasiadki, przyczem wszystko jest na miejscu i nic nie kosztuje, bo to jest, a nawet niektóre produkty trzebaby zniszczyć, gdyby bażanty ich nie zjadły, jak np. wysiewki (nasionka chwastów), które stanowią znakomity pokarm dla bażantów.

Druga kategorja hodowców już jest w sytuacji gorszej, nie mając specjalisty, a trzecia kategorja już nic z tego nie posiada i zmuszona jest nabywać wszystko na wagę złota. Twierdzę, że o ile chodzi o te dwie ostatnie kategorje hodowców, to w większości wypadków, bażant wychowany przez nich ze sprowadzonych jaj, zwłaszcza z zagranicy, będzie ich kosztował dwa razy tyle, co kupiony w kraju. Podkreślam, że dotyczy to bażantów, **wylęganych z jaj sprowadzanych**, a nie bażantów, **lęgnących się na wolności.**

Nie dziwi mnie zgoła, że hr. Rzewuski kłopotów hodowlanych tych 2-ch ostatnich kategoryj hodowców nie docenia, bo posiadając dobra Wierzchowieńskie i znakomitego hodowcę, p. Hoinkę, miał wszystko literalnie, co na uproszczenie i ułatwienie hodowli się składa i co jej nawet dochodowość zapewnić może.

Ja, niestety, należałem do kategorji tych, którzy musieli zwalczać na każdym kroku te przeciwności, a że dążeniem mojem było i jest zgłębienie tajemnic hodowli zwierzyny w najszerszem tego słowa znaczeniu, jako odrębnej powiedziałbym dziedziny wiedzy i ważnej gałęzi gospodarstwa krajowego, przeto dotykałem się wszystkiego własnemi rękami, by poznać hodowlę zwierzyny nie na zasadzie

cudzego, lecz własnego doświadczenia i to jest wzgląd, który mnie wogóle do zabierania głosu w tych sprawach ośmiela.

Gdyby jednak ktoś na zasadzie powyższych słów moich miał się zrażać do zaprowadzania bażantów u siebie, byłby w błędzie. Przeciwnie, dokonać tego można z łatwością pod kardynalnym **i nieodzownym warunkiem posiadania odpowiedniego do tego celu terenu i wyboru odpowiedniego systemu przy zaprowadzaniu bażantów.**

Hr. Rzewuski stoi na stanowisku racjonalności sprowadzania jaj, wychodząc z założenia, że **odporność „pierzastej" zwierzyny zwiększa się, gdy jest na miejscu wylęgnięta.** Ja zaś powiedziałbym inaczej, że odporność nie specjalnie „pierzastej", ale wogóle każdej zwierzyny zwiększa się, jeżeli jest **zaaklimatyzowaną**, i to zwierzyny „z włosem" w daleko większym stopniu, niż z „pierzem". **Sam fakt przyjścia na świat tu lub tam żadnego nie ma znaczenia tak długo, dopóki noworodek nie zacznie przyjmować pokarmów naturalnych, które sam sobie musi wyszukiwać, i dopóki nie zostanie poddany wpływom klimatu odmiennego, w jakim żyli jego rodzice. Dalej odporność organizmu zwiększa się, jeżeli zwierzyna wychowywaną jest na wolności, bo daleko prędzej zaczyna przystosowywać się do pokarmu naturalnego właściwego danemu terenowi, na którym się znalazła, i poza tem będąc w daleko większym stopniu narażoną na wpływy zmian atmosferycznych, hartuje się.** Co do samego przyjścia na świat, **to miejsce jest o tyle obojętnem, o ile dotyczy zwierzyny już zaaklimatyzowanej.** Zwierzyna przychodzi na świat na wiosnę lub w lecie, a zatem różnice klimatyczne w tym okresie, o ile to Polski dotyczy, są zupełnie małe i żadnej roli odgrywać nie mogą.

Jakież stąd logiczne wnioski? Po pierwsze należy uważać za nieodpowiednie sprowadzanie zwierzyny żywej i jaj wylęgowych z zagranicy z okolic o łagodniejszym klimacie. Jeżeli to obecnie robimy, to należy uważać jako malum necessarium wobec niedostatecznie rozwiniętej hodowli zwierzyny w kraju, skąd możnaby czerpać zwierzynę zaaklimatyzowaną. Po drugie, że najracjonalniejszym sposobem pomnażania zwierzyny jest nie sztuczny, lecz naturalny wychów na wolności. Po trzecie, że jako materjał zarodowy sprowadzać należy materjał zaaklimatyzowany i nie stary, lecz bezwzględnie młody, któryby dawał liczne potomstwo i mógł się do nowych warunków terenu i pożywienia łatwo przyzwyczaić.

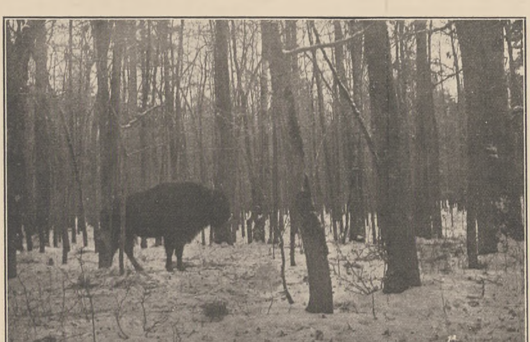
Jeżeli rekomendowałem i rekomenduję sprowadzanie młodych bażantów sztucznie wychowanych, a nie w stanie dzikim, to dlatego jedynie, że młodych, chowanych na wolności, nikt w lecie nie złapie, a gdyby złapał nawet, to pomarnowałoby się ich wiele, gdyż samodzielność ich i przyzwyczajenie do pożywienia naturalnego jako wychowanych na dziko miało miejsce od pierwszego dnia życia, w przeciwieństwie do bażantów, wychowanych z jaj, których samodzielność i niemal całkowite przejście na pokarm naturalny zaczyna się po sześciu tygodniach. Przewozić młodych bażantów na dalekie dystanse nie można — a zatem i z zagranicy sprowadzać, bo w tym okresie życia bażant potrzebuje, by go kilka razy dziennie karmić. Transport zatem koleją nie może trwać dłużej nad jedną noc. Starsze bażanty zaaklimatyzowane, w szczególności kury można wpuszczać wtedy, gdy na danym terenie bażanty już są umiejscowione i gdy przewagę stanowią koguty.

STANISŁAW KAMOCKI.

Uzyskiwanie kart łowieckich przez członków towarzystw łowieckich.

Prawo łowieckie postanawia w art. 27, że karty łowieckie wydaje się osobom uprawnionym do polowania z tytułu posiadania obwodu łowieckiego własnego, z tytułu wzięcia polowania w dzierżawę lub też z tytułu uzyskania pisemnego zezwolenia właściciela lub dzierżawcy polowania. Logicznym wynikiem tego postanowienia jest, że osoby ubiegające się o kartę łowiecką, winny okazać władzy dowód, że posiadają którykolwiek z wyżej wymienionych warunków.

Zachodzi pytanie, z jakiego tytułu otrzymywać będą karty łowieckie członkowie towarzystw łowieckich. Ta sprawa jest nieco skomplikowana i wymaga rozważenia. Każde zarejestrowane towarzystwo łowieckie jest osobą prawną, zdolną do działań prawnych, i jako takie zawiera umowy o



W puszczy. „Ostatni..."

dzierżawę terenów łowieckich, może nabywać na własność grunty przydatne na tereny łowieckie i t. p. Umowa o dzierżawę terenów łowieckich zawarta przez władze lub, upełnomocnionych do tego, przedstawicieli towarzystwa pozostaje w mocy przez cały czas, na jaki została zawarta, choćby nawet w międzyczasie skład osobowy towarzystwa uległ zupełnej zmianie. Wobec tego poszczególnych członków towarzystwa nie można uważać za dzierżawców terenów łowieckich, jest nim zaś samo towarzystwo jako osoba prawna. Członkowie towarzystwa winni się wykazać pisemnem zezwoleniem towarzystwa, jeżeli pragną ubiegać się o uzyskanie karty łowieckiej, samo bowiem należenie do towarzystwa łowieckiego nie stwarza podstawy do uzyskania karty łowieckiej.

Oczywiście jednym z podstawowych celów każdego towarzystwa łowieckiego jest dostarczanie członkom terenów łowieckich, dlatego też jest niewątpliwem, że towarzystwo upoważnia swego członka do polowania, i to nic wymagałoby specjalnego dowodu. Istnieje jednak przepis, że właściciel względnie dzierżawca polowania może dać tylko taką ilość pisemnych zezwoleń, aby na każdego posiadacza zezwolenia przypadało conajmniej pięćdziesiąt hektarów powierzchni obwodu łowieckiego. Przepis ten obowiązuje również towarzystwa łowieckie, jako właścicieli, względnie dzierżawców obwodów łowieckich. Towarzystwo łowieckie może zatem wydać swym członkom jedynie taką ilość pisemnych zezwoleń na polowanie na dzierżawionych przez towarzystwo terenach, by na jednego członka towarzystwa przypadała conajmniej 50 ha powierzchni obwodu łowieckiego.

Karta członkowska może służyć za pisemne zezwolenie jedynie w tych wypadkach, gdy towarzystwo łowieckie posiada w stosunku do liczby swych członków taki duży obszar obwodów łowieckich, że na jednego członka przypada conajmniej 50 ha powierzchni obwodu. Aby władza, wydająca karty łowieckie, mogła się zorjentować, czy towarzystwo ma dostateczny obszar terenów łowieckich, winno towarzystwo na karcie członkowskiej uwidocznić obszar dzierżawionych obwodów łowieckich i ilość członków towarzystwa.

Jeżeli karta członkowska nie będzie zawierała wiadomości o liczbie członków towarzystwa i obszarze dzierżawionych terenów łowieckich, lub też jeżeli z wiadomości podanych na karcie członkowskiej wyniknie, że towarzystwo nie posiada tak wielkego obszaru obwodów łowieckich, by na jednego członka towarzystwa przypadało conajmniej 50 ha obwodu łowieckego, wówczas karta członkowska nie będzie mogła służyć jednocześnie za pisemne zezwolenie w rozumieniu art. 27 prawa łowieckiego i nie będzie mogła stanowić podstawy do wydania karty łowieckiej. W tych wypadkach członek towarzystwa będzie musiał się wykazać oddzielnem pisemnem zezwoleniem. Może zatem zdarzyć się, że nie wszyscy członkowie towarzystwa łowieckiego będą mieli prawo polowania.

Zdarzały się podobno wypadki, że niektórzy panowie starostowie żądali jako dowodu złożenia do akt starostwa, rejentalnego odpisu umowy dzierżawnej. Ministerstwo Rolnictwa wyjaśniło okólnikiem z dnia 11 kwietnia r. b., że nie należy w ten sposób utrudniać wydawania kart łowieckich, wystarczy natomiast, jeżeli dzierżawca polowania ubiegający się o kartę łowiecką okaże oryginał, lub uwierzytelniony odpis umowy. Dokumenty te winny starostwa zwracać stronom, po uskutecznieniu w rejestrach niezbędnych wzmianek.

STANISŁAW BŁONAROWICZ.



KSIĄŻKA O LEŚNYCH DRZEWACH.

Piękną pracą o „drzewach liściastych"*) wzbogacił piśmiennictwo nasze Bronisław Gałczyński. Autor bierze za motto do swego dzieła wiersze Kasprowicza i Ejsmonda. I tak, jak Kasprowicz, rozmiłowany jest „w cichym szeleście drzew", i tak, jak Ejsmond,

„nad wszystko w dzikiej przyrodzie
co żyje, oddycha i śpiewa,
nad wszystko, co kocha i tęskni —
miłuje leśne drzewa...

*) Bronisław Gałczyński: Drzewa liściaste leśne i alejowe (Nakładem Autora). Piaseczno pod Warszawą. 1928 r.

Nie te ze szpalerów strzyżonych,
stojące w karnym szeregu, —
nie te z ogrodowych alei
zrównane od brzegu do brzegu.
Ale te, które zrodziła
w swych głębiach puszcza dziewicza,
te, które strzelają ku niebu,
jako szumny wiersz Mickiewicza..."

Omówiwszy „piękno w przyrodzie", Gałczyński przystępuje do kreślenia monografji poszczególnych drzew.

Na pierwszem miejscu stoi tu dąb, „groźny monarcha", którego szum, według starożytnych, był głosem Zeusa, dąb, którego pierwotne ludy czci-

ły, jako świętość. Monografje Gałczyńskiego urozmaicone są mnóstwem ciekawych opowieści. Dowiadujemy się więc, iż „wielkość i wartość lasu dębowego mierzono liczbą świń, jaką mógł wyżywić. W VIII wieku pewna królewna angielska otrzymała w posagu las na 200 świń. Nasz Wyżycki twierdzi, że potrzeba 25 dorosłych dębów na utrzymanie jednego wieprza. Wypadałoby z tego, że królewna angielska z VIII wieku otrzymała w posagu 5 tysięcy dorosłych dębów".

Na drugiem miejscu w książce Gałczyńskiego znajdujemy lipę „dobrą królowę". Tam — ponury i mocarny mąż, tu słodka, miodu pełna kobieta... Ale obcując z tą kobietą tak słodką i miodową, można czasem przecież poczuć w ciele żądełko — pszczoły... Autor przytacza legendę o Philemonie i Baucis. Ona hodowała świnie, a on zajmował się pszczołami. Do ich ubogiej chaty przybyli dwaj zmęczeni podróżni — Jowisz i Merkury. Przez wdzięczność za gościnne przyjęcie zamienili chatę na wspaniałą świątynię, a Philemona i Baucis uczynili tej świątyni kapłanami. Po śmierci on stał się dębem, a ona lipą. Zamienili swe zajęcia — on teraz żywił świnie, a ona karmiła pszczoły. Za podobne ugoszczenie anonimowych podróżnych Piast dostał koronę. Lechiccy anieli byli więc, jak widzimy, hojniejsi od bogów greckich: królowanie godniejszem jest zajęciem od żywienia świń.

W dalszym ciągu książki Autor mówi nam o pięknym i wyniosłym buku, cierpliwym zdobywcy lasu, strojnym w złocisto-zielone szaty. Starożytni uważali cień buku za dobroczynny. Na gładkiej korze bukowej kochankowie wycinali imiona swych kochanek, począwszy od Parysa, który na korze buków rzeźbił słodkie imię swej pierwszej kochanki Olnony...

Jesion — drwiący z wichrów i mrozów, mocny i sprężysty, jak stal twardy, dawał ongi drzewca na włócznie. Achilles używał jesionowej włóczni. Gałczyński, kreśląc ciekawe dzieje jesionu, pisze: „Przez kilkadziesiąt wieków nie znaleziono nic lepszego na długą broń, niż mocne i sprężyste drzewo jesionowe. Świetne ataki jazdy polskiej, budzące podziw i zdumienie świata, odbywały się z jesionową kopją w ręku. Na polach Grunwaldu, czy pod Kirchholmem, pod Beresteczkiem, czy pod Chocimem, jesionowe kopje broniły wielkości, sławy i wolności Polski. Lance ułańskie, które zdobywały utraconą sławę i wolność — były także jesionowe". Dalej mówi Gałczyński o upadku rycerskiej misji jesionu — o dziejach smutnych, gdy służył tylko do kijów bilardowych i osi do bryczek... Aż nastąpiło znów jego odrodzenie: jesion stanowić począł cenny materjał przy budowie samolotów, zdobywając rycerskie ostrogi dnia dzisiejszego. Według skandynawskich sag jesion był drzewem życia, które łączy ziemię z niebem...

Topole obok wierzb i olch uważano ongi za drzewa żałobne: Homer umieszcza je u wejścia do krainy cieniów... Legenda głosi, iż Krzyż Zbawiciela był wykonany z osinowego drzewa. Dlatego to liście osiny drżą tak żałośnie...

Topola włoska sprowadzona została do Polski przez Jana Sobieskiego, a rozpowszechniła się za czasów Księstwa Warszawskiego pod wpływem Napoleona, który był wielkim zwolennikiem topól.

Wiąz — drzewo niebezpieczne i zdradzieckie o łamiących się niespodziewanie konarach — posiada ważną zaletę, iż chętnie się na niem gnieżdżą ptaki.

Klon na wiosnę wielobarwnem kwieciem obsypany, jesienią kapiący od złota i purpury, latem zwartą koroną liści chroniący wędrowca od upału, — równie piękny jest we wszystkich porach roku.

Olchy nazywa Gałczyński „drzewem, okrytem chwałą", nawiązując do wspomnień Grochowskiej olszynki. Konstanty Gaszyński pisał ongi z tego powodu: „Kiedyś w dniu odrodzenia, w tę chwały godzinę, szczepiąc drzewo wolności, zaszczepim olszynę..." Po przegranej bitwie grochowskiej posiekane kulami olchy wskazywały zwyciężonym na niebo „jako na źródło nadziei..."

Piękny jest ustęp monografji brzozy, dający charakterystykę tego dziwnego drzewa: „Co wiosna każdy zachwyca się jej nową sukienką z małych pachnących, nieco lepkich listeczków, jakgdyby pierwszy raz ją widział tak ubraną. Co jesień każdy podziwia jej strój balowy, rumiany i kapiący od złota, jakby ona jedna tylko tak umiała się ubrać. I nikt nie umie powiedzieć, kiedy jest piękniejsza, w tej zielonej czy w tej złotej sukience. Niektórzy mówią, że najpiękniejsza jest w zimie, kiedy w zwieszone włosy gałązek jest tylko ubrana. Kiedy jedni ją tak podziwiają, to u innych znowu w największej jest pogardzie: wiedzą o niej tylko, że dobra jest na miotły i na rózgi do bicia... Słowem jest to drzewo podziwiane i pogardzane, najpospolitsze i najbardziej niepospolite..." Autor podkreśla trafnie kobiecość brzozy...

Grab nazywa Gałczyński „drzewem dyskretnem", które osłoniło niejedną tajemnicę miłosną swoim zwartym szpalerem.

Ciekawszy jest rozdział poświęcony wierzbie, którą niesłusznie uważa się nieraz za drzewo smutku. Innego zdania był prorok Izajasz, innego zdania jest Zygmunt Bartkiewicz, który pisze: „Stara wierzba ustrojona już na święta w śliczne bazie. Górą patrzy sobie w słońce, a gałęzie zanurzyła w chłodnej wodzie. Taka przecie jest szczęśliwa, a tu ludzie wymyślili: wierzba płacze. Czego płacze? Kiedy drzewu jest najlepiej". Gałczyński opowiada nam o pojawieniu się wierzby płaczącej w Europie dopiero w XVIII wieku. — Poeta angielski Pope otrzymał w upominku z Turcji koszyczek z figami. Poeta, zjadłszy figi, zauważył, iż pręty koszyczka są jeszcze żywe, i posadził je w ogrodzie... Z prętów tych wyrosły pierwsze w Europie wierzby płaczące, które Linneusz nazywał babilońskiemi.

W dalszym ciągu owej cennej pracy Autor omawia jarzębinę, ptaków żywicielkę, platan, drzewo Sokratesa, orzech włoski, akację, morwę, i leszczynę. Druga część dziełka zawiera „Rady praktyczne dla sadzących drzewa alejowe".

Książka Br. Gałczyńskiego winna znaleźć się w bibljotece nietylko każdego ziemianina i leśnika, ale i myśliwego, któremu obcowanie z leśnemi drzewami tyle daje niezapomnianej radości.

LUNETY NA BRONI MYŚLIWSKIEJ.

Chociaż samo zmontowanie lunety jest zadaniem rusznikarza, i odpowiedni fachowiec, mający za sobą lata pracy i doświadczenia, napewno wykona to prawidłowo bez porad klijenta, należy jednak wspomnieć w paru słowach o tej trudnej i skomplikowanej operacji, gdyż zdarzają się często wypadki, kiedy właściciel broni i lunety poleca połączenia jednego z drugiem jakiemuś mało-miasteczkowemu ślusarzowi z aspiracjami na rusznikarza i staje się właścicielem dziwoląga, którego

w żaden sposób nie można skłonić do prawidłowego strzelania.

Wymienimy tedy kilka ogólnych prawideł, tyczących się montowania lunety: 1° w większości wypadków kupowanie nowego sztucera, na którym zmontowano lunetę już w fabryce, opłaca się lepiej, niż montowanie kupionej osobno lunety. Tyczy się to oczywiście tylko normalnych broni magazynowych: Mauser, Schönauer, Tell — i t. p., a nie drogich sztucerów podwójnych. Fabryka posiada odpowiednie maszyny, tabele balistyczne, obliczenia, dzięki którym zmontowanie podstaw i przystrzelanie może wykonać przy minimum kosztów, szybko, a w dodatku wtedy, gdy broń jest jeszcze niewykończona, co nie zmusza do dwukrotnego piłowania, polerowania i czernienia części.

To też osoba, posiadająca np. Schönauer'a bez lunety, a chcąca koniecznie mieć sztucer z lunetą, uczyni najlepiej, sprzedając sztucer posiadany komuś ze znajomych (czegóż nie można przehandlować między kolegami-myśliwymi), i kupując Schönauer nowy, już zaopatrzony w lunetę w Steyer. Nie należy przytem hipnotyzować się nadzwyczajnemi cnotami i zaletami tegoż starego Schönauer'a, z powodu których tylko na nim można montować lunetę, aby uzyskać broń idealną... Każdy większy skład broni ma ich na składzie kilkanaście, można je wypróbować gruntownie i znaleźć równie dobry, jeśli nie lepszy.

Przy obecnej, względnie bardzo niskiej cenie doskonałych sztucerów maszynowych, zmontowanie lunety przez warsztaty rusznikarskie, wynosi zwykle prawie tyle samo, ile cena samego sztucera, toteż kupujący osobno sztucer i lunetę i żądający osobno zmontowania płaci prawie za 2 sztucery, wtedy, gdy w fabryce płacimy tylko za sztucer i lunetę, a zmontowanie wypada za darmo, z powodu wielkich rabatów, udzielanych przez fabryki optyczne hurtowym odbiorcom.

2° Jeżeli musimy montować lunetę osobno, naprzykład na posiadanym już, kosztownym sztucerze podwójnym, należy tą pracę powierzać tylko bardzo dobrym i znanym firmom rusznikarskim, i nie przerażać się na widok rachunku. Montowanie wymaga tyle powolnej, sumiennej i drobnostkowej pracy ze strony najlepszego, a więc najdroższego majstra, że musi być kosztownem. Pamiętajmy pozatem, że luneta tania i źle zmontowana czyni najlepszą broń znacznie mniej celną, niż przy użyciu otwartej szczerbiny i muszki.

3° Zwrócić uwagę na odległość okulara lunety od oka. Im słabszym jest odrzut broni, tem mniejszą może być ta odległość, jednak okular zbyt blisko oka umieszczony uniemożliwia dobre strzelanie, gdyż strzelec instynktownie „ucieka" przy strzale i porusza całą bronią.

4° Luneta nie powinna w żadnym wypadku być zmontowana inaczej jak bezpośrednio nad lufą, z której mamy strzelać. Lunety obok lufy nie są możliwe do dokładnego przystrzelenia, używa się ich tylko wtedy, gdy mamy strzelać z obu luf podwójnego sztucera przy jej pomocy, a przez to samo nie można jej montować inaczej.

5° Złączenia czyli podstawy lunety muszą być dopasowane do systemu broni. I tak, na sztucerach Mauser'a najlepiej używać podstawek umocowanych po środku komory zamkowej i mostka, — na Mannlicher — Schönauerze, ponieważ rączka zamka musi przechodzić przez mostek — tego czynić nie można, i podstawki muszą stać z boku, z tem, iż lunetę utrzymują jednak nad lufą, a nie z boku.

6° Istnieje pewien przesąd na temat tego, iż dobre zmontowanie lunety powinno równocześnie pozwalać na używanie muszki i szczerbiny — mając lunetę nałożoną. Trudno sobie zdać sprawę, do czego to ma służyć. Chyba niema strzelca, który, mając zmontowaną dobrą lunetę, będzie chciał strzelać bez niej. Zdanie owo datuje chyba z tych czasów, kiedy lunety miały nader małe pola widzenia i uniemożliwiały strzały szybkie.

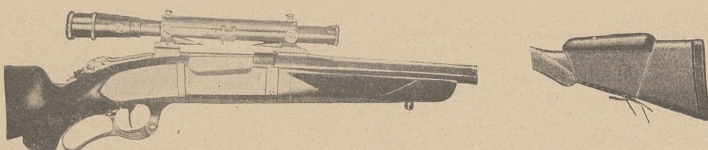
Nawet najwygodniej umieszczone podstawy lunety ograniczają tak bardzo pole widzenia po nałożeniu lunety, że strzał przez nią jest zawsze o wiele szybszy niż pod nią.

7° Prawidłowy strzał, zwłaszcza strzał szybki, wymaga dobrego przyłożenia policzka do kolby.

W normalnych sztucerach warunek ten osiągamy, celując przez otwartą muszkę, a ponieważ oś optyczna lunety znajduje się o parę centymetrów wyżej od linji przezierania przez muszkę i szczerbinę, musimy odchylać twarz i wyciągać szyję ku górze.

Utrudnia to bardzo strzelanie, zmniejsza szybkość rzutowych strzałów i zwiększa odrzut broni, który jest inaczej przyjmowany przez strzelca.

Jest na to środek zasadniczy: wykonanie łoża broni ze znacznie wyższym grzebieniem i z t. zw. „baką", oraz kilka paljatywów, jako to: wysuwany ku górze grzebień, rodzaj nakładki skórnej, nakładanej na kolbę i t. p. W każdym razie, o ile nie zamawiamy specjalnego łoża, co jest zawsze najlepszem rozwiązaniem, należy dążyć do tego, aby luneta znajdowała się jaknajniżej nad lufą, abyśmy nie musieli zbytnio podnosić głowy.



8° Luneta jest zmontowana stale i precyzyjnie tylko wtedy, gdy obie podstawki są przymocowane do lufy, lub też tylna jest przytwierdzona do nieruchomego przedłużenia lufy: komory zamkowej w broniach magazynowych.

Montowanie lunety inaczej — naprzykład na sztucerach automatycznych Browning'a, gdzie lufa porusza się w stalowej rurze wodzącej, jest zawsze niedokładne i mało korzystne.

J. PODOSKI.

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ.

Z PISM NIEMIECKICH.

Powszechny związek niemiecki ochrony polowań rozesłał do gazet okólnik, w którym przypomina, że od 24 lat bada **znaki przytwierdzone do zwierzyny.** W ten sposób stwierdza popierwsze wiek danej zwierzyny, a powtóre miejsce jej wędrówek, prowadząc książki kontrolujące odnalezioną lub zabitą zwierzynę ze znaczkiem. Okazuje się jednak, że związek ten, mający siedzibę w Berlinie, posiada obecnie rywala w innem stowarzyszeniu znajdującem się w Hanowerze, które również ma swoje znaczki i bada na własną rękę te same stosunki. Związek berliński uważa tę konkurencję za szkodliwą i wzywa myśliwych, żeby uwzględniali jedynie znaczki berlińskie, podając adres sekretarjatu generalnego: Berlin,SW. 11, Dessauer Str. 8.

Pruski związek myśliwych wydał odezwę, że mimo zakazu zdarzają się często wypadki **ubicia w czasie ochronnym** dropi, łabędzi i orłów-bielików. Wobec tego Związek prosi myśliwych o zajęcie się tą sprawą i pomoc w przeciwdziałaniu tego rodzaju przekroczeniom.

Niemiecka Izba Łowiecka wystosowała do ministerstwa rolnictwa memorjał w sprawie **trutek przeciw drapieżnikom**. W memorjale zaznaczono, że w ostatnich czasach zjawia się w gazetach bardzo dużo ogłoszeń o takich trutkach, przyczem stwierdzono, że trutki te fabrykują i niemi handlują ludzie niefachowi, nieposiadający też na to pozwolenia władz. Izba orzeka, że z punktu widzenia prawidłowego myślistwa takie podrzucanie trutek jest wogóle szkodliwe; wyjątek stanowi tylko trutka dla wron, która nie wyrządza szkody innej zwierzynie. Wiele psów myśliwskich pada też ofiarą tamtych trutek. Pozatem niema w Niemczech tak wielu drapieżników, żeby je trzeba było tępić przy pomocy trutek. W ogólności zaś rola drapieżników nie jest tak straszna dla łowiectwa, jak wielu uważa. One bowiem niszczą tylko sztuki wątłe i chore, a w czasie epidemji przyczyniają się w ten sposób tylko do wcześniejszego jej wygaśnięcia. Wobec tego tępienie drapieżników przy pomocy trutek nie jest wcale wskazane. Wystarczy odstrzeliwać je przez myśliwych i straż łowiecką. Należy przeto ograniczyć handel trutkami i poddać go ścisłej kontroli policyjnej.

Na tegorocznej wystawie trofeów w Hanowerze, wygłosił **p. Jankowski odczyt**, w którym twierdził, że w okolicach tego miasta kształtowanie się poroża uległo w ostatnich latach znacznemu pogorszeniu. Jako przyczynę prelegent podał to, że tam obwody łowieckie są zbyt małe i źle rozdzielone, gdyż brak wielkich lasów i rozległych majątków ziemskich, a pozatem praktykuje się zbyt wczesne odstrzeliwanie zwierzyny. Wobec tego p. Jankowski radzi, aby małe rewiry połączyły się, a ich właściciele tworzyli związki hodowlane prawidłowego łowiectwa.

Na wystawie łowieckiej w Berlinie zaprezentował się Bakterjologiczny Instytut Izby Rolniczej **Dolnego Śląska**, dając obfity zbiór preparatów i opisów **chorób zwierzyny.** Okazy te uczą myśliwego, z jakiemi chorobami zwierzyny on najczęściej się spotyka i które zarazy są najszkodliwsze. Urządzono zatem pokaz wszelkich chorób, począwszy od zarazy, której podlegają specjalnie zające: pseudotuberkuloza, staphylomykoza i kolcydjoza. Z chorób sarn przedstawiono motylicę wątroby i choroby płuc. Osobno opisane są choroby bażantów, powszechne i rzadkie. Uwzględniono także kwestję przenoszenia się chorób zwierząt domowych na zwierzynę i odwrotnie. Wszyscy podziwiali te wyczerpujące prace Bakterjologicznego Instytutu.

J. O.

W OGRODZIE ZOOLOGICZNYM.

(Ród ptasi. W salonach drapieżów. Ogólny przegląd. W gronie małp).

Mój przyjaciel Pstrąg odwiedził mnie dzisiaj w gabinecie. (W jednym pokoju mam gabinet, sypialnię, jadalny i łazienkę). Uradowana gęba Pstrąga wieściła, iż przynosi ciekawe nowiny.

— Skąd wracasz? — zapytałem.

— Z ogrodu zoologicznego. Wyobraź sobie — cedził powoli — iż zaintrygowany hjobowemi gadkami, jakie rozlegały się w stolicy, spodziewałem się zastać w ogrodzie napisy: „tu był lew, ale umarł z głodu", „tu będzie tygrys, ofiarowany przez Amanullaha" i t. p., tymczasem...

— Słucham cię Pstrążku.

— Tymczasem kupiłem bilet za 30 groszy i stanąłem na terenie ogrodu. Koło dwuch betonowanych stawów przeszedłem w stronę nocnych krzykaczy, jak sowy, puszczyki i wspaniałe puhacze. Niewiele z nimi rozmawiałem, jako, iż był dzień. Po prawej stronie ujrzałem olbrzymie sępy, orły, myszołowy, które wpatrzone były z utęsknieniem w gigantyczną woljerę, rozpiętą naprzeciw, przyszłą siedzibę tych drapieżników. W woljerze tej budują dla nich skałę, według modelu rzeźbiarza Gruberskiego.

Po drodze wstąpiłem w progi białego domku, gdzie mnie przywitał radosnym pokrzykiem wielobarwny ród ptasi, złożony z różnych gatunków papug. Były tam ary czerwone i niebieskie, kakadu, nimfy, szarogłówki i t. p. Pozatem ćwierkały małe, barwne ptaszki egzotyczne, kolorowe sroki brazylijskie i sójki meksykańskie. Szczebiot niesłychany.

Wśród ciżby ludzkiej, z trudem przecisnąwszy się, objąłem znowu wzrokiem wolną przestrzeń, na której rozmieszczone były klatki ze zgrabnemi wiewiórkami, jeżami, z barwnemi jemiołuszkami, z chytrymi lisami, borsukami, z oswojonemi kunami: „Lalką" i „Dunkiem", z kuną leśną i królikami angorskimi. Wszystko to skaczące, wesołe.

Mrowiem ludzkiem oblepiona barjerka koło dużej klatki, podrażniła moją ciekawość. To niedźwiedź „Maks" bawił rozweseloną publiczność. Ociężałe prysiudy zachwyt wzbudzały w widzach, nic też dziwnego, iż za ten wrodzony humor, otrzymał „Maks" łakocie, roztwierając szeroko paszczę i dziękując wywieszonym jęzorem.

Nareszcie znalazłem się w obszernych salonach dla drapieżców. Tutaj igrały z sobą dobrze utrzymane lamparty, tutaj potulnym wzrokiem spozierały wspaniałe lwice; „Djana" i „Sylwia", na swego przyszłego pana i władcę, króla pustyni,

lwa: „Maćka". Po drugiej stronie towarzyszyła Maćkowi, oczywiście w osobnej klatce, piękna tygrysica. Opowiadano mi, iż powitanie Maćka odbywało się z obydwuch stron niezbyt życzliwie. Słychać było przeciągły ryk lwic i syczenie zjadliwe tygrysicy. Nie trwało to jednak długo. Maciek z początku ogłupiały widokiem tylu pięknych dam, potrząsnął wkońcu dumnie grzywą i oparłszy się mocno na dwuch przednich łapach, ryknął przeraźliwie. Później doskoczył do jednych i drugiej i poprzez kraty zdzielił łapą towarzyszki. Efekt był niebywały. Towarzyszki pokornie usunęły się w kąt, Maciek zaś ryczał dalej, jakgdyby chciał swe myśli wyrazić pomrukiem.

— Z niemi trzeba zawsze postępować brutalnie. Inaczej wezmą mnie za łeb.

Odtąd panuje niczem niezmącona zgoda.

Obejrzawszy ładnego, długonosego ostronosa i kota herberyjskiego „Totka", pożegnałem egzotyczne stwory.

Stołeczny ogród zoologiczny jest w stadjum organizacji, widać jednak postępy w pracy. Roboty ziemne, niwelacyjne, są prawie na ukończeniu. Wykończając już główne aleje, sadzą drzewka i krzewy. Zieleni jest coraz więcej. Wśród alei nowo posadzonych drzewek, śpieszę dalej. Wzrok mój zatrzymał się na złotem malowanych łapkach bażantów. Zdala bieliła się cembrowina olbrzymiej sadzawki, z wysepką na środku, w której zamieszkały cztery, na razie, wydry. Wesołe te stworzonka, odwiedzane szczególnie przez dzieci, igrają uciesznie w wodzie, baraszkując z sobą, jak dzieci.

A dalej duży staw, także z wysepką, na której osiedliły się bociany białe i czarne, żórawie, kormorany, czaple, łabędzie, dzikie kaczki i gęsi i majestatyczny z zachłannym dziobem pelikan. Drobi nawet małemi łapkami po lądzie, mewa.

Dalej zaś, wzdłuż alei, po lewej stronie, pięć woljer z ptakami krajowymi, jak kruki, sroki, kawki, kosy, szpaki, gile, zięby, pustułki i t. p. Nawet skowronki usiadły na cyplu, wyciągając cudowne trele z gardziołek. Po prawej zaś jelenie wspaniałe, łanie, sarny, daniele, zające i dziki.

Nieco dalej na uboczu piękne okazy wilków, które nietylko w nocy, rozpoczynają swą niesamowitą muzykę, wyjąc z tęsknoty za lasem. Opodal są osiołki, które podjadają sobie należycie, ażeby być gotowymi do wożenia maleństw na swoim grzbiecie.

I oto ostatni ośrodek nasycenia ciekawości — małpy. Murowany pawilon, specjalnie dla nich przygotowany, wnet im otworzy podwoje, tymczasem mieszczą się w dwóch pokojach w budynku dla administracji. Małych, ogoniastych człowieczków (w myśl teorji Darwina) jest sztuk siedemnaście. Przeważnie dary ludzi współczujących nieszczęściu, jakie spotkało zarząd ogrodu. Zwinne, ochocze, wspinają się po sznurach trapezów, wywracają kozioł ki, prowadzą dysputy frywolne między sobą. Jest ich wprawdzie niewiele, ale gatunkowo sporo. Są makaki chińskie (czapeczkowe) i jawajskie, Kapucynki i Manguby, Morskie Koty i Koczkodany, oraz kilka rodzajów pawjanów.

Najwspanialszym jednak okazem jest „Ulman", święta małpa, bóstwo hinduskie, nazwana przez wielbicieli „Maskotką", ażeby przyniosła szczęście. Małpka ta ma w złotej oprawie głowy z kitą, ślicznie wykrojoną mordkę małego Hindusa. Figlarna, ze łzawemi oczkami dla kontrastu, biega swobodnie po klatkach swoich rówieśniczek. Ogon długi, puszysty, jest najmilszą jej zabawką. To wszystko.

— No, to jednak już bogactwo—oświadczyłem.

— Skoro jednak zobaczyłeś mojemi oczami — cedził Pstrąg — zwrócić mi musisz owe 30 groszy.

ALERO.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

ECHA ZGONU Ś. P. REDAKTORA SZTOLCMANA.

Oprócz już wymienionych kondolencyj, nadeszło także pismo kondolencyjne od zarządu Wielkopolskiego Związku Myśliwych. Prezes tegoż, p. pułk. Konstanty Chłapowski, nazywa Zmarłego „apostołem łowiectwa polskiego".

„Kurjer Warszawski" zamieścił zaraz nazajutrz po zgonie ś. p. Sztolcmana krótki jego życiorys, oraz opis pogrzebu.

W „Łowcu" lwowskim dano na czele numeru artykuł z podobizną ś. p. Sztolcmana, napisany przez d-ra Witolda Ziembickiego.

„Polski Drób" dał wspomnienie pośmiertne o ś. p. Zmarłym.

W „Tygodniku Przemyskim" wydrukował artykuł żałobny z powodu zgonu ś. p. Sztolcmana kapitan J. Kobylański.

Ś.P. JÓZEF ROSTAFIŃSKI.

W Krakowie zmarł ś. p. Józef Rostafiński, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, przeżywszy lat 78.

Znany i wybitny uczony, zajmował się również piśmiennictwem łowieckiem i ogłosił w Krakowie w r. 1914 pracę, wydaną nakładem Akademji Umiejętności, p. t. „O myślistwie, koniach i psach łowczych — książek pięcioro z lat 1584 — 1690". Pozatem napisał i pozostawił podobno w rękopisie niektóre inne prace z dziedziny myślistwa.



Z Centr. Zw. Pol. Stow. Łow.

POSIEDZENIE WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z 21.V.28.

Przewodniczył p. St. Lilpop.

Po wysłuchaniu wyjaśnień p. J. Skrzypka co do okoliczności, w jakich Koło Miłośników Łowiectwa z Warszawy utrzymało się przy dzierżawie puszczy Międzyrzeckiej na licytacji w r. b., oraz wyjaśnień udzielonych przez pp. Garczyńskiego i Kiltynowicza, Wydział postanowił zamieścić odezwę w „Łowcu Polskim" dotyczącą unikania na przyszłość niezdrowej konkurencji Towarzystw na przetargach, rezultatem czego jest to, że tenuty dzierżawne nie stoją w żadnym stosunku do wartości rzeczywistej terenu. Nadmierna tenuta dzierżawna przyczynia się do tego, że w większości wypadków T-wa nie mają dość środków na prowadzenie prawidłowej gospodarki łowieckiej. O zajęciu takiego stanowiska, Wydział powiadomi Wileńskie Tow. Myśliwskie i Koło Miłośników Łowiectwa. Pp. Garczyński i Kiltynowicz, jako bezpośrednio interesowani w tej sprawie — od głosowania nad decyzją Wydziału uchylili się.

Na skutek ostatnio otrzymanej ofiary 103 zł. na zapomogi dla wdów i sierot po zabitych przez kłusowników strażnikach łowieckich, Wydział posta-

nowił otworzyć specjalne konto, uzupełniając ofiarowaną sumę do zł. 300, z czego wypłacane będą zapomogi dla poszkodowanych w zwalczaniu kłusownictwa oraz rodzinom po zabitych strażnikach łowieckich. Jednocześnie Wydział zwróci się z apelem do ogółu myśliwych i Towarzystw do składania ofiar na cel powyższy.

Akceptowano kandydatury na delegatów w powiatach Grodzieńskim, Leszczyńskim, Brzeckim i Opatowskim.

Wydział ustalił i polecił zamieścić w „Ł. P." porządek dzienny Zjazdu Przedst. Tow. w dniu 9.VI.28 i Zjazdu Del. Powiatowych w dniu 10.VI.28.

Wydział uprosił członka Wydziału, p. K. Tołłoczkę o zasięgnięcie informacji w Min. Komunikacji w sprawie przepisów o przewożeniu pociągami psów myśliwskich.

DELEGACI POWIATOWI.

Zgłoszeni zostali w dalszym ciągu następujący kandydaci na Delegatów powiatowych Centralnego Związku, pp.:

Władysław Józef Kukier, Gałki, p. Sosnowe Siedleckie na pow. Węgrowski;

Wacław Bałkowski, maj. Nowodwór, p. Mińsk Mazowiecki i płk. Antoni Piasecki, D-ca 7 p. ul., Mińsk Mazowiecki — obydwaj na pow. Mińsk Mazowiecki.

Władysław Niedźwiecki, Wierznica, p. Dobrzyń n. Wisłą, na pow. Lipnowski.

Dr. Tadeusz Bal, Łask, na pow. Łaski.

Henryk Downar Zapolski, Pprokurator, Nowogródek, na pow. Nowogródzki.

Uwaga: Trzykrotne ogłaszanie nazwisk kandydatów na delegatów daje możność nadsyłania ewentualnych zastrzeżeń ze strony osób zainteresowanych.

INSTYTUT ŁOWIECKI.

Na prezesa Polskiego Instytutu Łowieckiego, o którym napisaliśmy obszerniej w poprzednim numerze, wybrany został prezes Centr. Związku Pol. Stow. Łow., p. Juljusz hr. Bielski.

Pozatem wybrani zostali do Zarządu pp. Adam Gorecki — wiceprezes, inż. Mieczysław Beil — sekretarz, Juljusz Salwach — skarbnik, Adam Rylski, Włodzimierz Barański i Kazimierz Piórkowski; do Komisji Rewizyjnej pp. Leopold Łysakowski, Tadeusz Kobylański i Andrzej Jakubowicz; do Rady Nadzorczej Łowieckiego Związku Handlowego pp.: Zdzisław Czartoryski, Henryk Prek, Adam Rylski, Walerjan Niedźwiecki, Włodzimierz Barański i przedstawiciel Małopolskiego Tow. Łow.; do dyrekcji pp.: inż. Stanisław Kamocki, Zygmunt Machnowski, Jan Gołębski i dr. Moysa - Rosochacki.

TOW. ŁOW. NA POW. RADOMSKOWSKI.

Z ogłoszonego sprawozdania Towarzystwa Łowieckiego na powiat Radomskowski wyjmujemy następujące szczegóły ważniejsze:

Członkiem honorowym jest honorowy prezes p. Stanisław Harmata. Zarząd stanowią pp.: Wacław Karmański, prezes, dr. Hipolit Zwoliński, vice prezes, Adam Jędrzejczyk, vice prezes, Tomasz Dębski, skarbnik, dr. Marjan Niewiarowski, sekretarz, członk. Wacław Fryc, Stanisław Imieniński, Jan Kowalczyk, Adam Mękwiński, Bolesław Stefańczyk, Edmund Słotwiński, Walenty Tomicki. Zastępcy pp.: Peyser Antoni i Franciszek Raczyński. Komisja Rewizyjna pp.: Grabarczyk Józef, Peyser Antoni i Zielonka Ksawery.

Zmarli: ś. p. Roman Jaskólski, Alfons Brandt, Kazimierz Psarski i Andrzej Dłubak.

Ogółem w sezonie jesiennym i zimowym zabito: kozłów 2, zajęcy 236, królików 2, cietrzewi 1, słonek 1 i kuropatw 134.

Gdy skończyła się dzierżawa terenów Brzeźnicy, Zarząd usilnie zabiegał, żeby wydzierżawić je nadal, jednak z powodu ofiarowania za dzierżawę sumy niepomiernie wygórowanej — Zarząd zmuszony był od licytacji odstąpić.

Od dnia 1 marca 1927 r. wydzierżawiono tereny lasów miejskich (około 2600 mórg).

Zarząd Towarzystwa nadaje za wybitne zasługi na polu zwalczania sidlarstwa, kłusownictwa i ochronę zwierzyny łownej—żetony srebrne i dyplomy z wizerunkiem św. Huberta.

Za cały czas istnienia Towarzystwa żetony nadano pp.: 1) Stefanowi Kotkiewiczowi, 2) Zygmuntowi Walewskiemu, 3) Komendantowi Policji Państwowej Edwardowi Langiemu, 4) Komendantowi Komisarjatu, Wacławowi Kwiatkowskiemu, 5) Józefowi Małczakowi i 6) Stanisławowi Jedrzejczykowi.

Zarząd zaakcentował opieszałość wielu członków w płaceniu składek członkowskich.

Zarząd mianował w całym powiecie w każdej gminie po jednym opiekunie myśliwskim.

Opiekunowie myśliwscy mają za zadanie: a) mieć pieczę nad podniesieniem zwierzostanu w gminie, b) walczyć z sidlarstwem, kłusownictwem i nielegalnym handlem zwierzyną łowną, c) powiadamiać raz do roku o zwierzostanie w gminie.

Za kłusownictwo i sidlarstwo, spraw sądowych Towarzystwo wytoczyło 16.

Za cały czas istnienia T-wa, skreślono z listy członków 58 osób.

Zarząd Towarzystwa urządził: tydzień tepienia drapieżników od dnia 10 do 17 czerwca 1925 r., prenumeruje „Łowiec Polski", zapisał „T-wo Łowieckie na pow. Radomskowski" na członka do Centralnego Związku Polskich Stow. Łowieckich.

Na przyszłość projektuje: ufundowanie sztandaru, ustalić pewną kontrolę nad nielegalnym handlem zwierzyną łowną, zwalczać dobitnie sidlarstwo i kłusownictwo, sprowadzać matki w celu podniesienia zwierzostanu w powiecie, zwrócić uwagę na dokarmienie zwierzyny zimą, zaprowadzać bażanty na terenach dzierżawionych przez Towarzystwo, zaprowadzić hodowlę rasowych psów, tępić wszelkimi sposobami drapieżniki, wynająć kilka nowych terenów z lepszym zwierzostanem, wynająć lokal dla Towarzystwa.

Dochody uczyniły 2732 zł., z czego zostało saldo 349 zł. Budżet uchwalono w sumie 7.000 zł.

POMORSKI KLUB MYŚLIWSKI.

Na Walnem Zgromadzeniu przyjęto do wiadomości sprawozdanie łowieckie za rok ubiegły (referat łowczego Klubu, p. Jana Stenzla) następującej treści: Na 7 polowaniach gremjalnych oraz w czasie polowań luzem, padło w ciągu roku 34 lisy, 5 rogaczy, 5 jastrzębi, 1 bażant, 269 zajęcy, 75 kaczek, 144 kuropatw i 1 królik. Kóz-sarn nie strzelano wogóle ze względów hodowlanych. Przyjęto 3 strażników łowieckich, udzielono 2 premij za przyłapanie kłusownika, którego wraz z odebraną bronią oddano prokuraturze.

Sprawozdanie administracyjne (referat sekretarza mjra Czesława Mańkowskiego): Klub z początkiem roku liczył 2 członków honorowych (starosta Ossowski i pułkownik Kruszelnicki) oraz 27 zwyczajnych; w ciągu roku przyjęto 13 nowych, ubyło 12, a mianowicie 1 zmarł, 7 wystąpiło, 4 wydalono z powodu zalegania z opłatami. Stan Klubu z dniem 30.III.1928 wynosi 2 członków honorowych i 28 zwyczajnych. Terenów łowieckich dzierżawił Klub 8 w powiatach: grudziądzkim, chełmińskim i świeckim o łącznej powierzchni okrągło 4000 ha.

ŁOWIEC POLSKI



ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU
POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 23 (427). *WARSZAWA, 9 Czerwca 1928 r.* *ROK XXI*



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

KONTO P. K. O.: „Centralny Związek Polskich Stow. Łowiec." 8082.
ADRES: NOWY-ŚWIAT 35. TELEFON 7-98

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15, za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł.
Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENA OGŁOSZEŃ: Za każdy milimetr 1-szpaltowy za tekstem 35 groszy, 2-szpaltowy 75 groszy; przed tekstem: 1-szpaltowy 50 groszy, 2-szpaltowy 1.10 zł.; na karcie tytułowej 1-szpaltowy 70 groszy, 2 szpaltowy—1.50 zł.

GARNITUR
SPORTOWY

SPORTEX

NIEZRÓWNANY
NA
POLOWANIA
WYCIECZKI
DO SAMOCHODU



PŁASZCZ BURBERRY

NIEZBĘDNY DLA SPORTOWCA

Bogusław Herse

CHRYSLER 80



PRZODUJE WSZYSTKIM CHRYSLEROM

Motor sześciocylindrowy. Wał korbowy wsparty na siedmiu łożyskach umożliwia szybkie i równomierne przyśpieszanie bez wstrząśnień. Sprężystość motoru pozwala regulować na bezpośredniej przekładni szybkość od 5 do 128 kilometrów na godzinę. Hydrauliczne hamulce, samoregulujące się i niezawodne, wykluczając możliwość poślizgu, działają niesłychanie równo i z wielką siłą. Równolegle, szeroko rozstawione resory umieszczone są blisko kół, co zapobiega wszelkim wahaniom maszyny na boki. Resory te są umocowane do ramy podwozia w gumowych oprawach. Osiem wspaniałych modeli karoserji, zarówno otwartych, jak i krytych, od 2 do 7-mio osobowych, dają najwybredniejszym możność wyboru. Chryslera Imperial "80" można obejrzeć w salonach wystawowych firm sprzedających Chryslery. Może on być dokładnie wypróbowany w ruchu, bez zobowiązania do kupna. Obejrzyjcie również Chryslery 72, 62 i 52. Chrysler buduje maszyny rozmaitych typów i w rozmaitych cenach!

JENRALNA REPREZENTACJA NA POLSKĘ I W. M. GDANSK: "AUTO-KONCERN" WARSZAWA
SALON WYSTAWOWY: WILCZA 9-A TEL. 123-27. BIURO: WIERZBOWA 8 TEL. 123-29

Chrysler Sales Corporation, Detroit, U.S.A.